

Maria Niwińska

ul. Świętojańska 13/2 m 81.

BIAKYSTOK

I/564

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Przed wojną ja już byłam mężatką. Mąż jeszcze się uczył, był na studiach. Potem mieliśmy już dwoje dzieci. Przyszłość się kroiła piękna. Mąż kończył studia prawnicze. Nasz krewny był w Bi Białymstoku notariuszem i miał mężowi zostawić notariat. Mąż miał tam aplikować. Ja byłam jedynaczką, wychowana w określonej atmosferze, byłam "wypieszczona". A po tem przyszedł czas ciężki, gdy ja musiałam się wziąć się za robotę. Rodzice mi pochorowali się. Ale gdy już wyszłam za mąż to wydawało się, że już wszystko będzie dobrze. Mąż skończył studia, ale go zatrzymano, bo już wyraźnie szło ku wojnie. Myśmy o tym nie wiedzieli, że miała być wojna. Ale mąż był na ćwiczeniach. Przyjechał na jeden dzień. Pojechał. I już wówczas wszyscy zaczęli mówić o wojnie.

Wkrótce dostałam trzymiesięczną pensję za męża. Mąż już został w wojsku. I zaczęła się wojna. W tym czasie moje dzieci były małe: dziewczynka miała dwa lata, a chłopczyk miał lat pięć. Byliśmy głodni, bo jeszcze matka była ze mną. Była już staruszką, bardzo chorą. Tak więc byłam zdana na siebie. Musiałam zostać głową rodziny. No i cóż, trzeba było jakoś starać się. Było nam bardzo, bardzo ciężko.

najpierw przyszli Niemcy. A chodzili tacy pewni siebie, tacy mocni. Ale myśmy się jakoś ich nie bali. Bo oni jeszcze nie pokazali tego, co oni potrafią. Ale prędko ich zmienili bolszewicy.

Ja nadal czekałam na męża. Ciągle czekałam. Do nas przychodził taki młody człowiek i mówił, że mąż ~~n~~ pewno wróci. Wystarczy, że sobie przypnie czerwoną kokardę, opowie się po tamtej stronie i ~~n~~ pewno wróci. Bo wszyscy, którzy opowiadają się po ~~ta~~ tej stronie, wracają. I on też wróci.

Wiedziałam, że on się nie opowie po tamtej stronie i nie wiado-

mo, jak to z tym przyjściem będzie.

Ciągle go szukałam. Był ranny. Kiedyś przyszedłam do domu i dałam na mszę, żeby wreszcie się znalazł jakoś, to matka mi powiedziała: wiesz, przyszła tu do nas taka pani i przyniosła kartkę od Ziutka. On się znalazł i prosi ciebie, żebyś ty przyjechała. Okazało się, że ta pani to była żona konduktora, który został wyrzucony z pociągu, gdy prosił o bilety. Bo wtedy to taka straszna hołota jeździła. Ta pani mi powiedziała, że jego położono na sali, w której byli ranni. Było to w Brześciu.

W tym dniu mąż odzyskał przytomność. Bo w czasie wojny go poważnie postrzelono. Przestrzelono mu nogę i tak go jakoś zabandażowano tak "na okrągło". W czasie transportu to jakoś ocierało się o słomę i wdało się zakażenie. Tak, że długi czas on leżał chory. Ale w tym dniu usłyszał Białystok. I poprosił tę panią, żeby do niego podeszła. Ona do niego podeszła i on wtedy powiedział, że prosi ją, aby ona zawiadomiła mnie, że on żyje. I ona z tym przyjechała.

Mnie ręce opadły z radości. Prędko zmieniłam tę mszę na dziękczynną, a sama wsiadłam i pojechałam.

Kartkę, którą mi przysłał, zawierała tylko zapis: przywieź coś do jedzenia i papierosy. No więc zabrałam co mogłam i pojechałam. Już na miejscu popatrzyłam przez szparę na salę, ale wszyscy ludzie byli mi nieznajomi. Ale po obchodzie weszłam na salę i ktoś mnie zawołał. Był to właśnie mój mąż.

I potem rozmawialiśmy. Dałam mu te rzeczy, które mu przywiozłam. Takie śmieszne tam historie tam powychodziły. Ale on chciał do domu. Tak mi się przyśnił, że on stoi taki obdarty, taki jakiś nędzny i prosi mnie o pomoc. Poszłam do jego rodziców się poradzić. I jego ojciec powiedział: jeśli się Marysi śni, to niech Marysia jedzie. I dali mi pieniądze, bo ja nie miałam.

Jego wówczas wypisali. Wówczas wszystkich wypisywali, bo wówczas

jakiś nowy transport miał przyjechać. Polacy nie chcieli wypisywać, bo ci ludzie ledwo chodzili. Ale wypisali wszystkich i on czekał, tak jak i inni, na to, żeby wyjść z tego szpitala. Dałam mu ubranie, bo przywiozłam mu ubranie takie prywatne. Przedtem zabrałam ten jego - pocięty kulami - mundur. No i poszłam z nim. Bo ich wsadzili na furę i powieźli na dworzec.

Tu, na dworcu miała odbyć się swoista selekcja jeńców na zasadzie "pakaży ruki". W ten sposób jednych kierowano do domu a innych do obozu. Zwykłych ludzi po prostu zwalniano. A mój mąż był oficerem rezerwy. A oni tego nie rozumieli, co to jest oficer rezerwy. Na dworcu stworzyła się trudna sytuacja zwłaszcza z rannymi. Powstało powszechne niezadowolenie. Wówczas wartownik powiedział: Kto zna język rosyjski, niech idzie do komendanta. Ja wprawdzie tego języka nie znałam, ale poszłam. Opowiedziałam, że na dworcu takie są warunki. A on zapytał: a kogo ty tu masz? Odpowiedziałam, że męża. No to trzeba czekać. A ty masz pieniądze? Odpowiedziałam, że mam. No to zabieraj się k'czortu i jedź z nim.

Ja na to byłam za mądra. Musiałam wziąć kate. Kiedy już to miałam, wsadziłam go - przy pomocy bratowej, która wówczas mieszkała w Brześciu - do doroski zanim przyjdzie ten, który będzie sprawdzał. Zawiozłam go do bratowej. On tam był długi czas.

A ja poszłam do pracy. Z tym był duży kłopot, bo ja nic nie umiałam. Była taka kobieta, która była sprzątaczką w gimnazjum Zygmunta Augusta. To gimnazjum kończyli nasi chłopcy, tam myśmy chodzili na wszystkie przedstawienia, na wszystkie koncerty, na bale. Więc ta kobieta mnie na swoje miejsce ulokowała. Ale ja tam miałam strasznie ciężką robotę. Bo tam ci, którzy tam byli, Polacy, nie bardzo chcieli się zaangażować, żeby pomóc a raczej żeby zgnębić. Bo już dotychczasowa drabina się przesunęła: ci, którzy dotychczas byli na górze znaleźli się na dole.

No i ja tam byłam przez długi czas. To mnie na przykład była

konferencja nauczycielska, wysyłali, żeby mnie wszyscy nauczyciele poznali, gdy ja z tą szmatą i kredę chodziłam. Myślałam, że mnie nikt nie pozna. Kiedy szłam ze spluwaczkami, nauczycielka wyskoczyła: Marysiu, co ty robisz? Czy nie mogłaś czego innego znaleźć? No trudno. Bo ja zawsze chciałam obcować ze sztuką, że ja zawsze chciałam grać w teatrze. Odpowiedziałam: no widzi pani to też jest sztuka, w której nikt sobie ról nie wybiera. A grać trzeba.

Bo mąż już był w domu. Ojciec go przywiózł. Trzeba go było przecież chować. A przychodzili Rosjanie i pytali, gdzie wasz mąż, a czy można z nim porozmawiać.

I ja w pewnym momencie zostałam znów bez pracy. Moja matka wtedy bardzo chorowała na dusznicę. Znowu trzeba było szukać jakiejś pracy. Więc najpierw zostałam kontrolą kuchenną w stołówce, najpierw na Rynku Kościuszki, a potem w dawnym naszym Rytzu. Wówczas ta restauracja "Europejska" się nazywała. Tam bywały śmieszne historie. Niekiedy dyrektor wpadał z krzykiem: "Rebiata, pomogitie". Myśmy wszyscy się zbiegali, przytrzymałyśmy drzwi i goście musieli odejść z niczym. Z kwitkiem.

W tym mniej więcej czasie ja zaczęłam się niepokoić. Już bowiem odszedł pierwszy transport, w którym pojechała moja bratowa z małym dzieckiem, paromiesięcznym. I znów było słyhać głosy, że znową będzie transport. Moja mama twierdziła, że nie powinnam wywoływać sensacji, że nic tu nie będzie.

Miałam takiego znajomego, który kiedyś był pracownikiem u mojego ojca. On był prawnikiem. Chodziło o to, że on był taką "złotą rączką", wszystko potrafił zrobić. Powiedziałam do niego: słuchaj, coś się dzieje. Trzeba przygotować trochę chleba, trochę lekarstw, bo mama moja była chora i dziecko akurat mi zachorowało bardzo. Bo ja się czegoś boję, coś tu będzie. On poszedł po chleb, ale chleba już nie dostał. A ja coś czułam, bowiem rozebrałam dzieci na noc, ale niekompletnie: dziew-

czynkę zostawiłam całkiem ubraną, a chłopca tylko trochę rozebrałam. Mąż rozebrał się całkowicie i się położył. Matka była po kolejnym ataku dusznicy bolesnej więc powinna parę dni poleżeć. A ja czekałam, że coś się stanie.

Nagle, w niedługim czasie rozległo się stukanie: do drzwi i do okien. A mieszkaliśmy wówczas przy ulicy Fabrycznej. To stukanie przekształciło się w dobijanie. Wówczas powiedziałam do matki: mamusiu, już przyszli, trzeba się ubierać. Do męża powiedziałam: ubieraj się. On nawet nie wiedział, po co. Dzieci ubrałam i dopiero wówczas poszłam otworzyć.

Wpadli. Byli to sami Żydzi. Jeden, jak się później okazało, był Białorusinem. Zaczęli szukać. A ja już wcześniej miałam spakowane walizki. To mi te walizki wywalili krzyżąc: ty chciałaś uciekać. Odpowiedziałam, że gdybym chciała uciekać, to bym uciekła. Przecież w Białymstoku w wielu domach ludzie nie śpią. Czekają.

Zaczęłam znowu to pakować spokojnie, dalej. A oni biegali dalej. Postanowiłam brać jak najwięcej rzeczy. Pomyślałam, że gdzieś w nowym miejscu trzeba będzie jakoś żyć. Ale oni powiedzieli tak: ty to zostaw, obudź dzieci, pożegnajcie się z ojcem i mężem, my jego zabieramy. Pomyślałam: teraz jest klops. Zostaję przecież z dwojgiem dzieci, takich małych. I przecież zostaję też z chorą matką. Już przestałam pakować się. Pożegnałam się z mężem. Matka zaczęła płakać. Wówczas powiedziałam do matki: nie płacz, niech się przynajmniej nie cieszą. A do męża powiedziałam: a ty wytrzymaj, my do ciebie przyjedziemy. Ale to nie wychodziło.

Wrzucono nas na samochód i zawieziono na Dworzec Poleski. Gdy przechodziła rodzina i chcieli coś podać, to skąd. Wsadzili nas do wagonów zadrutowanych.

Ruszyliśmy wieczorem, kiedy już wagony były pełne. Pociąg jechał raz w kierunku północnym, to znowu południowym, wszystko to się jakoś kolebało. W sumie nie wiedzieliśmy, w którą stronę nas wiozą. Nie wie-

dzieliśmy, co się dzieje. A to była już wojna. Zabrali nas bowiem nocą z dziewiętnastego na dwudziesty czerwca. A przecież za dwa dni wybuchła wojna. Męża odbili z więzienia przy Szosie Baranowickiej. To podobno kolejarze odbijali to więzienie. To on wróci, do pustego mieszkania: bez nas i bez rzeczy, nawet bez swojego ubrania.

A nas wieźli. I mybyśmy nadal nie wiedzieli. Tylko coś taki ruch był, niezwykajny taki. I jechali nadwołżańscy Niemcy. Jechali w tę stronę, na front. I gdy nasi wyszli / bo co dwa dni wiadro kaszy nam dawali / po tę kaszę, to dali im gazetę. Zaczęliśmy czytać te gazety. Było to w zamkniętym i zadrutowanym wagonie. Więc Rosjanie otworzyli wagon i zabrali nam tę gazetę. Zagrozili też, że zasłonią, zabiją deskami te okieneczka i wtedy my się podusimy. A moja malutka córeczka dostała akurat wtedy koklusz. Całą drogę mi kaszłała okropnie. No, ale jakoś doszliśmy. Okazało się bowiem, że ci Niemcy dali nam dwie gazety. I właśnie z tej drugiej gazety dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna.

Wówczas to ja zaczęłam pisać kartki z podróży. Tak się cieszyłam, że ta wojna wreszcie wybuchła. Bo gdyby nie wybuchła, to byśmy nadal musieli śpiewać:

Witaj gorod Biełastok

Russkij gorod dawnyj.

Bo oni przecież mówili, że Białystok jest stolicą Białorusi, Zachodniej Białorusi. A tak to byliśmy miastem okupowanym, w czasie wojny. Polskim miastem.

W tych swoich karteczkach bardzo się cieszyłam i wyrażałam nadzieję, że może znów będzie Polska, że może i nas nie dowiozą tam, gdzie mają dowieźć. A jeśli nawet i dowiozą, to przecież w końcu i oni też będą musieli skapitulować.

I tak nas wieźli aż dwa tygodnie. Wreszcie przywieźli nas na Pobiędę. Jest to koło Bijska. Większe miasto i obłast - to Barnau. Przy-

wieźli nas na tę fermę. Tam myśmy się pokotem pokładli. Było to w takiej starej szkole. Tam już przed nami byli Litwini, też przywiezieni. No i dzięki chorobie tej mojej córeczki, a była to choroba zakaźna, to nam dali na górze tej szkoły taki pokoik letni, bez pieca. I tam była Polska, bo tylko tam byliśmy tylko my. Właściciel kazał zabrać /dać/ mamie poduszkę, bo - jak mówił - przecież widać, że ona jest chora. Tam rozłożyłam polówkę.

Bo wszystko tam znaleźliśmy. Nie mogę powiedzieć. Nic nie zginęło po drodze. On kazał mi brać te wszystkie rzeczy. Ja mówię, a któż to będzie nosił? On powiedział: nie szkodzi. Oni muszą to wziąć, włożyć do pociągu, do wagonu, potem muszą to wyjąć i to na miejscu tam znaleźć dziecko .

No i rzeczywiście, znaleźliśmy to wszystko. Nic nie zginęło po drodze. Tylko dziecko moje strasznie kaszlało.

Potem przyszła do nas kobieta, ruska. Ona powiedziała, że dla tego dziecka, które tak bardzo kaszle, ona przyniesie troszeczkę mleka w takim garnuszku, nocniku z wyglądu, bo oni w swoim magazynie takie tylko dostali naczynia. Przyniosła. I z tą kobietą... i z córką tej kobiety ja do dzisiaj koresponduję. To jest rzadkość. To tego prawie nie ma, żeby korespondować z tymi ludźmi. Nie wiem, czym ja sobie tam zasłużyłam, że oni o mnie tak pamiętają. Ale przez cały czas ona mnie błaga: nie przerywaj tego, nie przerywaj. Dokąd będziemy żyły, dotąd będziemy do siebie pisały.

Ta córka to była nauczycielką. Mnie tam było naprawdę bardzo ciężko. I kiedy już przyszła to kobieta z tym mlekiem to ja sobie pomyślałam, że chyba tu też jacyś ludzie żyją. To może i my tu jakoś przeżyjemy.

Potem ~~tam~~ pracowałam tam przy różnych rzeczach. Robiłam kiziaki, budowałam, robiłam przy domach, tynkowałam. Nie umiałam tego. Kopałam doły. I tam taka charakterystyczna rzecz była: bo jak te doły kopa-

łam - to była bardzo ciężka praca - to z nami była doktor Katzenel-son, taka Żydówka stąd, lekarka. Ona była wzięta z matką, ta matka się nazywała Sara Lourie /córka: Berta/. One były z nami w jednym wagonie. I dlatego ja tak ich pamiętam. To byli jedni z tych ludzi, którzy z nami jechali, Żydzi. Bo tam było dosyć dużo tych Żydów, ale ci z nami jechali w jednym wagonie. Jak ona była w tym dole, to oni przychodzili i śmieli się: o, ~~twoj~~ pany, a ubornuju tak i katajut. Odpowiadaliśmy: no pewnie, kopie my, żebyście nie chodzili za stodołę, a żebyście tak jak ludzie się załatwiali. A ona to powiedziała tak: Poczekajcie, poczekajcie - bo nam było bardzo ciężko - przyjdzie Hitler to was wszystkich w te doły pokładzie.

I już jej więcej nie było. Już ja jej więcej nigdy nie widziałam. Ani jej ani jej matki. Cicho, ale jej już nie było z nami.

Ja tam śpiewałam. Tam na mnie mówili: śpiewająca Polka. Śpiewałam. A dlaczego? Bo na mnie patrzyła matka. Na mnie patrzyły moje dzieci. A wiadomo, że dla dzieci matka to jest opoką, na której te dzieci się opierają. A matka moja miała wówczas ponad siedemdziesiąt lat. Była taka chora i była taka przerażona, że nie wróci. I z chwilą, gdybym ja miała minę taką zbolaną, straszną, to przecież to koniec jej. Ja musiałam być uśmiechnięta. To znaczy, że to przejdzie. A i ten pokoić był jak własny. To wszystko miało znaczyć, że to przejdzie. I ja dlatego byłam taka śpiewająca.

I potem przyszło to porozumienie: Sikorskiego z nimi. Zaraz nam powiedzieli: wy teraz jesteście wolne Kazaki i możecie jechać gdzie chcecie tylko: tu nie możecie, tam nie możecie i tam nie możecie. No lista straszna tego, czego my nie możemy. Ale ludzie zaraz wszyscy do Bijska się wybrali. To było miasto najbliższe, "tylko" sto osiemdziesiąt kilometrów. To było blisko. No, ale ja zostałam i rodzina takiego Żyda Szlajfera. Szlejfer i Rybak, to oni byli... to oni w innym wagonie jechali. Oni mieli sklep rybny u nas na Rynku Kościuszki. I ja

wówczas sobie pomyślałam tak: jeśli tutaj Żydzi są, to znaczy, że tu nie jest tak strasznie. Bo Żyd to ma nos, ten taki dobry do interesów. Gdyby oni wiedzieli, że ich mają tu zostawić, to oni by jechali stąd na łeb na szyję. A nie jechali. Oni zostali. Ja pojechałam, bo mnie tutaj Kryisia Piotrowska - to dawnego wice prezydenta miasta córka - ich cała rodzina jechała. Oprócz męża. To matka jechała, dwie dziewczynki i czterech chłopców. W naszym wagonie.

One do mnie napisały: przyjeżdżaj, bo my jedziemy do Persji! Bo jest ewakuacja. Zostaniesz sama i co ty zrobisz sama z taką rodziną? Na końcu napisały już, że koniecznie przyjeżdżaj. Było to w lutym 1942-go roku.

No ja do nich pojechałam. Wtedy to był straszny mróz, ponad czterdzieści stopni. Ja wtedy policzek sobie odmroziłam, gdy szłam do dyrektora prosić o te sanie. Nie chciał puścić. Ale potem... Ja powiedziałam, że ja muszę jechać, bo zamroziś moją matkę i moje dzieci. No, to moja matka i moje dzieci.

Ale puścił mnie. Pozwolił mi jechać z koniuchami. Ich jechało czternaście san. Mnie dali dwie pary san. Tylko musiałam się z koniuchami umówić co do zapłaty za mój przejazd. Oddałam męża koszulę białą, nową. Pozwolili mi jechać ze sobą. A ja wcześniej nigdy nie miałam do czynienia z koniem. Ale musiałam umieć.

Na jednych saniach umieściłam matkę w betach i tak ją przysnurowałam do san. A jej sanie przysnurowałam do swoich, żeby ona mi w razie czego gdzieś mi nie umknęła. Dzieci wsadziłam jak do kojca, z tyłu, przykryłam. No i tak żeśmy pojedźhali.

Jechaliśmy trzy dni i trzy noce. To była ciężka droga. W czasie tej drogi matka dostała ataku duszniczy. Powiedziałam do woźnicy: stawaj, bo mnie babka umiera. No gdzie, przecież jest noc święta, wszyscy śpią. Gdzież tu kto tobie będzie ogień palił. A ja mówię: pal ogień prędzej. Bo ja miałam ze sobą książki księdza Knajpa. I tam nie było żadnych leków. Musiałam tym się posługiwać.

No i tam trzeba było kłaść takie gorące kompresy. Zeby jakoś rozszerzyły naczynia krwionośne. Kiedy zobaczono, jak wygląda moja matka, to zaczęła mi pomagać. Po tem chorą matkę znowu zawinęłam w to wszystko i pojechaliśmy dalej.

Kiedy przyjechaliśmy do tego Bijska - a droga była straszna - to wtedy w tym Bijsku kazali nam się wynosić, bo my już nie z tego sowchozu. To kazali się wynosić. No to jakieś tam miejsce znalazłam, jakieś tam mieszkanie. Mieszkanie było paskudne, bo wszy nas gryzły niesamowicie. Już wszy były w wagonie, ktoś przyniósł. Niesamowicie było, tak nas gryzły. Te wszy to przez te pięć lat to tak nam towarzyszyły, jak najlepsze przyjaciółki.

Po jakimś czasie zmieniłam mieszkanie. Bo były tam różne historie takie tam. Tam miałam trochę kaszy, trochę kartofli, to troszkę gotowałam. Były tam takie małe dzieci. Kiedy ta gospodyni wynajęła nam to mieszkanie i ja gotowałam w kuchni, to ona posadziła swoje dzieci na zimny piec. I one tam siedziały cały dzień. I gdy tylko ja gotowałam, to ta malutka dziewczynka kręciła się koło matki i mówiła: babusia, jeść ochota, babusia, jeść ochota. Matka brała miskę, nalewała, te dzieci łapały i jadły. /moja matka/. Ja mówiłam: mamo, przecież naszym nie starczy, przecież to jest już koniec. A moja matka, która zawsze była dobra i nigdy się nie gniewała tym razem się rozgniewała: jak ty chcesz, żebym ja jadła, kiedy obok stoi głodne dziecko i prosi? Gdyby nie moja matka, to ja bym chyba nie przeżyła tego.

Potem mieszkaliśmy u złodziei. Strasznie śmieszna rzecz. Złodzieje mieszkali za ścianą. Potem ich wszystkich wzięli. To już myśmy mieli cały ogród do rozporządzenia, mieliśmy co jeść. Wybieraliśmy pestki i jedliśmy.

Ale niestety, wrócili ci złodzieje. A Persja nam uciekła. Bo przyszło do nas, że mamy siedzieć na miejscu. I cośmy wtedy zrobili? Poszliśmy wtedy do tego naszego przedstawiciela i zapytaliśmy, czy to

prawda. Bo my już wówczas nie mieliśmy nic. Już wysprzedaliśmy się ze wszystkiego. Nie mieliśmy dosłownie nic. Sprzedawaliśmy wszystko, żeby prędzej jechać. Porobiłyśmy sobie nawet ondulacje. No bo jak tu jechać do tej Persji bez ondulacji?

On powiedział, że niestety, ewakuacja została wstrzymana. A jeszcze przedtem to przyjechał jakiś taki oficer i miał takie przepustki. Tam była też i przepustka i dla mnie. I tylko dla mnie. On nie wiedział, że ja mam matkę i mam dzieci ze sobą. Powiedziałam: to trudno, to ja pojedę ze wszystkimi, ale nie z nikim. On powiedział, że szkoda, że bardzo żałuję. Ktś pewno pojedzie też i na moją przepustkę. A ja zostałam, żeby później jechać ze wszystkimi. I tak zostaliśmy. Zostaliśmy jeszcze na cztery zimy.

Wtedy to już było bardzo źle. Wtedy to już była taka bieda, że człowiek tylko się oglądał, co jeszcze sprzedać. A do sprzedania nie było już nic. Sprzedałam swoje złote zęby wraz ze złotą koroną. Sprzedawałam też chleb.

Chleb, to jest specjalny rozdział. Chleb... do dzisiaj żal mi wyrzucać taki chleb, który jest troszeczkę podzieleniasty. Dziś mnie pytają: dlaczego? Odpowiadam, że mi się ciągle ta Rosja przypomina. Ale chleb. Ja czasem dostawałam skórki od chleba od ludzi, którzy nie mieli zębów. Ja chodziłam ze swoimi wierszami. Ja mówiłam swoje wiersze, oni płakali. Kiedy mi dawali te skórki, to ja pilnowałam, miałam tak mocno zaciśnięte ręce, żeby nie zjeść tej skórki po drodze. Bo to miało być dla dzieci. Czasami zjadłam i potem sobie wyrzucałam. W ogóle człowiek był tak głodny, że sam swoje palce ogryzał.

Ja, gdy mogłam, to sprzedawałam chleb i za to kupowałam kartofle. Bo kartofle były z wodą, było ich więcej i bardziej można było najieść się. Nie wolno było chleba sprzedawać. Raz nas złapali. Złapali nas, jak ja byłam z synkiem i milicjant mówi: no, idziemy na komisariat, spekulanty, spekulują chlebem. A ja po drodze puściłam synka przo-

dem i mówię mu: ty jedz, ile tylko dasz rady. Bo przecież i tak nam zabiorą. Ja jadłam i on jadł. Tak, że kiedyśmy przyszli, to już nie było nic. Zostało tylko trochę okruchów. Milicjant na komisariacie mel-
duje: spekulantów przyprowadziłem, chleb sprzedawali. Nu dawaj, ten chleb dawaj. A ja mówię, że my nie mamy żadnego chleba. A milicjant na to: jak to nie macie? Przecież widziałem pełen worek. A teraz nie mamy. To co z nim zrobili? Może zjedli, odpowiedział ten drugi. No widzisz, jakich spekulantów znalazłeś?

A ja się zdenerwowałam i mówię, że ja jestem Polka, że my musimy płacić za wszystko: za mieszkanie, za chleb, za kartofle, za drzewo, za wszystko. I nic nie mamy.

A milicjant do mnie: to ty jesteś Polka? A co ty w domu robiłaś? A ten drugi niby to dowcipkując: pewnie chlebem handlowała. Tu mnie znowu poniosłam. I zaczęłam tak, jak w tej bajce: że ja mieszkałam takim mieście, gdzie było tyle ~~domów~~, a w każdym domu tyle sklepów itd. I w każdym sklepie było tyle chleba od góry do dołu: i biały i czarny i bułeczki. I co kto chce. Kto chciał, ten gorący chleb do ręki na rynku brał.

Kazali nam iść do domu. A kiedy wracaliśmy do domu, to mój mały powiedział: mamusiu, jak by to było dobrze, gdyby nas tak częściej tak łapali z tym chlebem. A ja mu tłumaczyłam: dziecko, a babcia i inni to by mieli być głodni?

Był taki głód, że gdy ugotowaliśmy zupę, to myśmy skrobali ten garnek po kolei. Czasem i ja skrobałam ten garnek, ale ja i tak miałam najmniej to byłam głodna. I raz mama mówi, żeby i ~~mama~~ ^{jej} dali wyskrobać garnek. Ja wściekła, rzuciłam ten garnek i powiedziałam: masz i udław się. A mama wzięła ten garnek, wyskrobała i powiedziała: no widzisz, wyskrobałam, najadłam się i nie udławiłam się. Mama była taką realistką.

Było coraz gorzej. Był taki dzień... Tu może powiem o tutejszych

ludziach. Bo tutejsi ludzie, ruscy, byli bardzo dobrzy. Byli to normalni ludzie. Mężczyźni poszli na wojnę. Kobiety zostały z dziećmi. Zostali tylko nieliczni mężczyźni. Nasz szef na przykład, był wysokiej klasy specjalistą. Dostawał pensję taką, że wystarczała tylko na sześć wiader kartofli. I gdyby nie miał swojego mieszkania, swojej baszmi, to klepałby taką biedę, jak i my.

A jacy ci ludzie byli dobrzy? Może parę przykładów. Mówię też o tych, którzy byli nam tacy dobrzy tam, na tej Pobiedzie, z którymi koresponduję teraz. Ta malutka, koleżanka moich dzieci, wówczas mała dziewczynka, to była tu u mnie. Już po wojnie. Przyjechała.

Było na przykład tak. Moja matka zachorowała na zapalenie płuc. I nie było żadnego lekarstwa. Był lekarz. Był z tych zesłańców. Przyszedł i powiedział, że koniecznie trzeba postawić bańki. A matka miała tylko skórę i kości. A jak jechała, to była grubsza ode mnie. Była nawet gruba. A potem to czterdzieści kilo schudła. Schudła do tego stopnia, że ja ją mogłam na rękę przenieść.

No i trzeba było bańki postawić. Nie było na czym, bo były tylko same skóra i kości. Ale ja przeczytałam w książce, a to było już drugie zapalenie płuc. Z książki wynikało, że trzeba było mieć ser. To właśnie ser wyciągał temperaturę, wyciągał gorączkę. Z sera aż się robiła taka kazeina, gdy się ją wyrzucało.

Ale ja nie miałam gdzie iść. Nie miałam pieniędzy, nic nie miałam. Kiedyś, gdy tylko przyjechaliśmy do tego miasta, to wyglądałam jak prawdziwa pani. Jeszcze miałam nawet futro, miałam jeszcze lisa, któremu często starano się oczy wylubać. I wówczas właśnie spotkałam taką Polkę - nie Polkę, bo wnuczkę zesłańca polskiego, która już nic nie umiała po polsku. Znała tylko pojedyncze słowa: dziękuję, proszę, pani, tylko takie słowa. I ona gdy zobaczyła, że ja jestem Polką, to ona właśnie starała się te wszystkie swoje słowa powyciągać. Wszyscy patrzyli na nią z takim nabożeństwem. No i mnie było przyjemnie, że

ktoś się do mnie po polsku odezwał. Ale myśmy tylko chyba jeden raz ze sobą porozmawiały, jak żeśmy czekały na ten chleb. I już jej więcej nie widziałam. Ale kiedyś było bardzo ciężko. Popatrzyłam dookoła, piecyk taki żelazny u nas stał, ale bardzo dużo potrzebował drzewa. Akurat była sroga zima. Matka akurat przymarzała do ściany. Nie było sensu palić w tym piecu. Odziewaliśmy się we wszystko, cośmy mogli, wkładaliśmy wszystkie szmaty na siebie, bo nie było co na nim ugotować. Była tylko czysta woda. I mieliśmy jeszcze tylko pudełko zapałek. Tylko to było.

Wysłałam ją na bazar - to nazywało się barachołka - i chodząc powtarzam: komu spiczki, komu spiczki. A mnie już usta drętwieją. W pewnym momencie ktoś za ramię wziął i mówi: pani, i myśmy się tyle czasu nie widzieli, co słyhać?

Ja natychmiast schowałam te zapałki. Nie chciałam się zdradzić, że my jesteśmy już w takiej nędzy. Powiedziałam jej, że "zła ta wasza ziemia, jechać do siebie nie możemy, bo jeszcze trwa wojna. Matka leży, syn leży, bo nie ma co nałożyć na siebie. Dziecko jest tylko co po chorobie. No, a tu nic nie ma, nic nie można kupić. Bo jak przyjeżdżają takie wozy z kołchozu, to te kartofle aż dźwięczą, takie są zmarznęte. Ale zaraz mnóstwo ludzi obstępuje i dają im każdą cenę. Co ja ze swoimi zapałkami mogłam tu zrobić?

A ona do mnie mówi tak: a wy się na mnie nie gniewajcie. Ja tutaj obok mieszkam, ale nie mogę was zaprosić, bo mąż przyjechał z delegacji. Ale ja tu zaraz przyjdę i przyniosę tobie spodnie, mam po swoim synu. Czy wy nie będziecie się gniewać? Ja jej na to odpowiedziałam, że za dobre serce to człowiek nigdy nie powinien się gniewać. Ale to już tak jest u ludzi: jak się już dziurka zrobi w sercu, to to miłosierdzie zaczyna wypływać.

Czekałam na nią, czekałam bardzo długo. Ponownie zaczęłam chodzić po bazarze i nawoływać: komu spiczki, komu spiczki. Ale to nic nie wy-

chodzi z tego. W pewnej chwili patrzę - idzie. Idzie i niesie taki kosz ze sobą. Myślę sobie: co to ona niesie? Niesie i węzełek i kosz. Ona podeszła i mówi do mnie: czy wy macie jakąś torbę? Ja odpowiedziałam, że mam. Ona dalej: przepraszam, że to tak długo trwało, ale mąż się obudził i ja musiałam nakarmić.

Obecni wokół ludzie zainteresowali się nami i zaczęli pytać: co wy macie? Sprzedajcie. A ona odpowiadała: ja eto dla padrugi przyniesła. To znaczy: ja to przyjaciółce przyniosłam. A ja ją dopiero drugi raz w życiu widziałam. No i ona zaczęła to otwierać i przekładać wszystko. A tam były i mąka, i kartowfle i kawałek słoniny i wszystko. Bo jej mąż, ten enkawudzista, to ona zawsze coś miał, no nie? I masę tego wszystkiego nałożyła mi w tę torbę. Ja już w końcu nie wiem, czy mam dziękować za to czy nie. Już nie pamiętałam i do dziś nie pamiętam: czy ja podziękowałam za to czy nie. Ona wcisnęła mi ten tobolek w rękę mówiąc, że musi już lecieć do tego męża i że my się jeszcze zobaczymy. Ale jej już więcej nie widziałam.

A ja ruszyłam pędem do domu. Do domu przybiegłam. I tu było najpiękniejsze magiczne przedstawienie. Oni wszyscy patrzyli na mnie. Ja rzuciłam zapalki /które miałam sprzedać/ i mówię: rozpalaj. No oni nie wiedzieli, co mają robić. A ja wtedy zaczęłam wtedy wypakowywać wszystko. To, że pudełko zapalek wróciło i przede wszystkim taka masa wszystkiego. Oni nie mogli nawet wyobrazić tego, że to wszystko można mieć. Była dobra kartoflanka wtedy. I to było to dobre serce tamtych ludzi.

To była jedna sprawa. A druga sprawa to była wtedy, gdy matka chorowała na zapalenie płuc. I tu trzeba było tego sera. Wracam do tego, o czym już mówiłam. Przyszłam do takiej kobiety, u której brałam mleko i stoję. No bo co mam zrobić. Przecież nie mam za co kupić tego sera. A ona ma krowę to może mieć i ser. A ona do mnie: a, to ty, Marusiecka. Ty pewnie teraz bierzesz gdzieś bliżej. A ja na to: ja wcale mleka nie biorę. Jak to nie bierzesz? A dzieci? A ja mówię: ja nie mam pie-

niędzy. A ona: to dzieci nie piją mleka? To źle. Ale wiesz co? Ja ci coś powiem: ty mnie przynosź obierki, a ja ci będę dawać mleczko. Mnie się zrobiło wstyd. Powiedziałam: słuchajcie, my sami jemy obierki. My prosimy u ludzi obierki. Bo ja nie mam na nic więcej. A ona na to: to już zupełnie źal dzieci. Jakżesz tak można? Co ta wojna ^unrobiła. Ale wiesz c^o? Ja ci jeszcze coś powiem. Ja mam kartofle. Ja ci będę dawać kartofle, ty mnie będziesz przynosić za to obierki, a ja ci będę dawać za to mleko.

Czy może być taka kombinacja? Rozpłakałam się wtedy. Tego już było za dużo. Ale stoję dalej. No bo c^oż mam zrobić. A ona mówi do mnie: Masz torbę? Ja mówię, że nie mam. To ja ci dam swoją. Bo ja przecież nie przyszłam po kartofle. I stoję nadal.

Ona widząc to pyta mnie: a co? Czy masz jeszcze jakieś zmartwienie? Tak, matka chora. Matka jest chora, a ja nie mam ani lekarstwa ani nic. I tak szukam: kto mi da trochę sera? Bo za pomocą sera mogę tę gorączkę z niej wypędzić. A ona mówi: to gorzej. Ale poczekaj, postój tutaj. Ja pójdę z dziewczętami porozmawiam, bo gospodarz jest na wojnie. Za chwilę przychodzą dwie dziewczynki, takie trochę podrośnięte. Jedna niesie miskę i mówi: weź ten ser. Myśmy go na Paschę sobie zostawiły. Chciałyśmy sobie zrobić Paschę, ale przecież człowiek ważniejszy. Weź ten ser, niech twoja mama wyzdrowieje. I wyzdrowiała. No więc czy może być jeszcze bardziej wyraźna dobroć?

I tak było często. Byli też i źli ludzie. Ta moja na przykład gospodyni ciągle starała się gdzieś tak mnie upaćhać, żebym ja jej stała w czymś pomagała. Ona to handlowała. Kupowała u tych sowietów/bo tam był "gorodok"/ a potem sprzedawała. A mąż jej ciężko pracował. I kiedyś mówi do mnie: wiesz, będziesz mi pomagała sprzedawać, bo tego tu za dużo jest. Odpowiedziałam, że nie będę. Ja nie umiem. Jak to? Nie umiesz zachwalić? Nie umiem. Ona: nie ma co gadać. Po co ja ciebie tu wzięłam. Zabieraj to i idziemy. Wzięła kufajkę, sama stanęła za drze-

wem a mnie wepchnęła na rynek. A ja wołam tak: komu kufajka? Komu kufajka? Charoszaja. Tania. Wajennaja.

A ta mnie natychmiast za rękaw i z powrotem. Co ty głupia robisz? Jak ty możesz tak krzyczeć, że to wojennaja. No jak to? Odpowiadam naiwnie. Przecież jest wojenna. Ale przecież to kradziona. A co ty, będziesz mnie tutaj do kradzionego namawiała? A ty wiesz, że zostanie tobie moja matka i moje dzieci? Przecież mnie zabiorą do więzienia. A ona: ciebie nie zabiorą, bo ty innostranka.

I popychała, poszturchiwała mnie do samego domu. Ja szłam, nic nie mówiłam. Mnie wszystko jedno było. Wiedziałam, że nie mogę dać nabrać się na takie rzeczy. I ciągle mi robiła takie głupie kawały różne. A ja starałam się - jak mogłam - wymigać się z tego.

A potem nam było nadal strasznie źle. To nigdy się o tym nie mówi. Powinno się wszędzie o tym mówić, że nam było tak strasznie ciężko, że ludzie rozpaczali, umierali. Ale ja starałam się wszystko robić, żeby tego wszystkiego nie było. Ja nie umiałam kraść. Nie dlatego że uważałam, że to jest niemoralne, bo przecież oni nam wszystko zabrali. W ten sposób część by człowiek sobie odebrał. Ale ja nie potrafiłam tego schować nigdzie. Tak że nic nie ukradłam tam, nie potrafiłam. Tylko mówiłam im: zobaczycie, zobaczycie. To nie jest grzechem to, co wy robicie. Ale to potem się zemści w Polsce. Bo w tej chwili to się gloryfikuje kradzież. Przecież dzieci patrzą na to z takim nabożeństwem, że matka coś ukradła i przyniosła. Czasem i same dzieci posyłacie kraść. A potem w Polsce one nie będą w stanie odróżnić tego, co jest cudze a co jest nasze.

To nas właśnie zepsuło, załamało. Wszyscy jesteśmy skomunizowani, nawet nie wiemy o tym. Jesteśmy przesiąknięci tym, czym oni nas przez tyle lat faszerowali. A teraz zamknęli nam swoje rynki, my zaś na Zachód nie możemy wyjść, bo my mamy same buble. Bo myśmy się tak nauczyli. No i było bardzo źle. Już nie wiedziałam, jak do końca. Potem po-

wiedzieli mi, to było w Wielki Piątek - pamiętam, że chce ze mną mówić delegat rządu. Tego rządu, lubelskiego już. Bo podobno wyzyw przyszedł. Bo ludzie dostawali takie wyzywy i mogli wyjechać wcześniej, bo rodzina o to się starała. A ja myślałam sobie: jak ja z tym majdanem pojedę. Ale matka strasznie się ucieszyła. To normalne, stary człowiek, siedemdziesiąt cztery lata. Nie miała pewności, czy zdoła wrócić, aby umrzeć u siebie.

Bardzo się ucieszyła. Ja byłam w takiej kufai, w takich buciorach. Bo wtedy tam były duże śniegi, piękne śniegi: z wierzchu białe, a w środku już zaczynały tajeć. Chodząc po nim się zapadało, przyszedłam do tego człowieka. Wyszedł do mnie - Żyd naturalnie - jak byśmy tu w Polsce Polaków nie mieli. Wyszedł Żyd, w bonzurce, ogolony. A ja jak ta dziadówka zupełnie. No i zaczęliśmy rozmawiać. Więc ja mówię, że bardzo się cieszę z tego, że ten wyzyw przyszedł. Bo rzeczywiście myśmy już tu prawie kończyli się.

A on na to: żadnego wyzywu nie ma. Myśmy tu was wezwali po to, żebyście zobaczyli, jak u ludzi jest. Co na przykład o tych powiecie? Ja na to odpowiedziałam: bardzo dobrzy ludzie, dawali mi skórki od chleba. No a tamci? A ja mówię: wie pan, ja tam ich dokładniej nie znam. Ale dobrzy, mamie okulary dali. W ogóle tu są dobrzy ludzie. Ja nie widzę tu złych ludzi specjalnie. A na to on: przecież ja nie o to pytam. Ja pytam, co oni myślą? A ja na to: skąd ja mogę wiedzieć, co kto myśli. My wszyscy myślimy o tym, żeby wrócić do Polski. Takie same są myśli wszystkich. To odrazu mogę panu powiedzieć. Że wszyscy myślą o tym, żeby wrócić do Polski.

- Ale co oni myślą o tym rządzie?

- A skąd ja mogę wiedzieć, co oni myślą o tym rządzie. Ja sama nie wiem, co o tym myśleć, co z nami będzie?

- To z wami będzie co i ze wszystkimi.

- O to właśnie pytam: co będzie z nami wszystkimi?

Trzasnął drzwiami i poszedł. A jeszcze wcześniej powiedział: tu

wszyscy uważają za aksjomat, że Niwińska jest żebraczką. To było nieprawdą, bo ja nigdy żebraczką nie byłam. Umiałam pisać wiersze, umiałam w ogóle pisać. nigdy nie czułam się żebraczką. Zawsze więcej płaciłam niż dostawałam.

Powiedział: będą do pani przychodzić i prosić, żeby pani pomogła tu czy tam. Na to w ogóle mu nie odpowiedziałam. Tylko sobie myślałam co to jest ten aksjomat, co to może być? Kogo to ja mogę o to zapytać? Tak mi to wówczas utkwilo w głowie.

I na tym się to skończyło. Tak więc mogłam tam jeszcze swoje życie urządzić. Potem zaczął się ostatni rok. Też nie był łatwy. Były różne rzeczy. nie będę o tym mówić. Kiedyś na przykład zbierałam na parnik /ziola/ i wyszedł do mnie taki Kirgiz z psem i z takimi Kirgiziakami i chcieli mi to odebrać. Było wiadomo, że ja tego nie oddam, skoro tak ciężko to było zebrać. Musiałam to wykopywać. Zaczął szarpać się. Doszło do tego, że go pociągnęłam po głowie tą kopaczką. On, co ty? Bić się chcesz? Pomyślałam, że bić się nie chcę, nie potrafię. Ale jak trzeba? A on tak tego psa trzyma i tak na mnie wiuka. A ja mu mówię: no, no. Tylko spuść tego psa. Ty wiesz, że ja nie jestem wasza. Ja jestem Polka. A czy ty wiesz, co to znaczy Polka? To znaczy, że ciebie jutro z chałupy wyciągną. Jeśli ty mnie tylko tkniesz. No bo co było robić? Trzeba było bluffować. I oni zaczęli rzucać w nas kamieniami. A mały zaczął wołać: choć, mamó, bo nas tutaj zabijają, choć, bo zabijają.

Ale nieprawda. Ja przyszłam z tą marchwią do domu. A marchew to były wówczas witaminy. A gospodyni zobaczyła to u mnie i zaczęła pytać: a co ty masz? Co ty masz? Ja jej mówię: nie idź tam, bo tam można oberwać. A ona na to: takiej głupiej nic nie zrobił to mnie coś może zrobić? Chwyciła motyczkę, złapała worek i poleciała. I za chwilę przychodzi z płaczem, za jakiś czas. Zabrali jej to wszystko. A ja tym razem była zadowolona: pomyślałam sobie - no i dobrze ci tak,

że tak się stało. Byłaś za chciwa.

Po jakimś czasie zaczęło się mówić, że już wyjeżdżamy. Wtedy też trzeba było zapisać się do tego związku Patriotów polskich. Bo tam bez tego nie można było. Więc przez parę miesięcy myśmy tam byli w tym związku. Przy końcu. No i potem papiery już przyszły. Myśmy już biegali na dworzec sprawdzić, czy już przyjechały zestawy wagonowe. Okazało się, że jeszcze ich nie było. Ale mówiło się: jak przyjdzie czas, to będą i zestawy.

A tu u nas nowa bieda: nie było matki papierów. Wiadomo przecież było, że ja jej nie zostawię samej. A mamy papierów nadal nie było. Mama mówi do mnie: wiesz, ty tak tracisz siły, jesteś zmęczona. Ale to zawsze tak jest: jak przychodzi to najlepsze, to człowiek traci siły. A my właśnie doczekaliśmy najlepszego, a ty widzę, tracisz siły. Staraj się jak możesz. A papierów nadal nie ma, nie przychodzą: nie ma i nie ma. Znaczy to; że zostaje. Tu już mają dawać na drogę ten prowiant. A ja nie wiem, co mam robić. Jest już przedostatni dzień, może dwa dni przed wyjazdem! Wtedy krzyczą: pani Mario, Pani Mario, pani Marysiu - jest, są, są. No to ja pobiegłam po te papiery. Zaczęłam się kręcić. Wszystko szło tak jak w ukropie. A moja matka mówi: widzisz, przeszło ci. Jak to dobrze, przeszło ci przed samym wyjazdem. A ja myślałam sobie: ty nie wiesz nawet co tu było.

Jakoś żeśmy się zabrali. No i żeśmy przyjechali tutaj. Jechaliśmy długo: trzy tygodnie jechaliśmy. A w tamtą stronę dwa" w tą stronę trzy. Bo kolejarze chcieli koniecznie bimbru. I pakowali nas zawsze na taki boczny tor. I wtedy zbierali na ten bimber. A myśmy nawet nie wiedzieli, co to jest ten bimber. Ale zbierali. Na to już Żydzi musieli dać, bo myśmy nie mieli pieniędzy. Więc dawaliśmy to.

Ale oni podjadą kawałek i znowu im bimbru potrzeba. Oj, nie dobrze nas przyjęli Polacy, niedobrze. Na dworcu z początku zaczęli kamieniami ciskać. To było jeszcze po drodze: zaczęli ciskać kamieniami w wa-

gony.No więc nie wiedzieliśmy,co to jest?Więc narysowaliśmy krzyżyki na naszych wagonach.A ten Żyd,ten Szlejfer powiada:pani Marusia,przecież myśmy tam nie byli źli dla was.Co tu się dzieje w Polsce.Ja mówię,że nie wiem,co się dzieje.

- Ale pani powie,że myśmy nie byli źli?

A potem,to niestety,żeśmy przyjechali do... Tam do wagonów herbatę zawsze z drugiej strony.Żydom z tej strony i wodę i wszystko jak wszystkim.A Polaków to kolejarze starali się z tej strony napić wodą gorącą,jakaś taką herbatą.

No, a potem,jakeśmy tu przyjechali,jakeśmy tu jechali,to nasi chłopci wychodzili i chłopki wychodziły.Nasze dzieci nie jadły ani śmietany ani masła nie widziały przez ten czas.Ale one nam nie dały nic.Naszym dzieciom nic.Tylko Żydzi kupowali wtedy wszystko,bo mieli pieniądze.A jak ja na końcu,jak ja na końcu żyłam? Chcieli ludzie,że oni mi dadzą pieniędzy,żebym ja przewiozła część złota.Bo przecież myśmy swoje wszystko sprzedali:krzyżyki,obrączki - wszystko.I to przeważnie wszystko kupowali nasi:i Żydzi i Polacy.Bo Ruskim nie było potrzeba.Ruska kiedyś rozbiła taki ten,na.. co to takie jest na końcu... światełko odblaskowe.Pytam,po coś ty to zrobiła? Później będzie na kolczyki.Oni... ja wie? Błyszczało.Oni nie chcieli wcale tego złota.Tam był skup złota,ale państwowy.A to nasi mnie doprowadzili do tego,tam nasi.Powiedzieli,że to Sowietka kupuje.Sprzedalam taką starą,bardzo starą,sto pięćdziesiąt czy więcej lat broszkę kutą,złotą,ręcznie taką robioną,po~~tem~~ na wierzchu z taką koroną z ametystem - za dwa litry oliwy."Bo przecież pani dzieciom potrzeba tłuszczu."Niech pani już nie żałuje tego.Tak już ostatki sprzedawałam.Wszystko sprzedawałam i wszystko sprzedalam.

I wówczas pomyślałam sobie:to ja jeszcze tym wszystkim pijawkom będę po drodze przewoziła? Nie było żadnej kontroli.Tak,że oni wysz-

li "na swoje".

Ale jak ja się urządziłam na końcu? Zrobiłam taki bank życzliwości ludzi, którzy o tym nie wiedzieli. Po prostu pożyczalam sobie od jednego. Po tem myślałam sobie: od kogo to ja znowu pożyczę? Od tego, a temu oddam na czas. I tak oddawałam. O znowu pożyczalam od następnego. I taki krąg miałam znajomych i każdemu oddawałam w terminie. Oni często się zastanawiali: co ona robi? Czy ona może u Żydów pali, może co robi? Ale mówili: można pożyczyc, bo zawsze oddaje na czas.

Ostatnie pieniądze oddałam już po przejściu granicy, zamienione na złotówki. W ten sposób dotrwałam ostatnie pół roku. No i tak żeśmy tutaj przyjechali.

Tu - niestety - na dworcu nikt na nas nie czekał. Nikt nas nie przyjął szklanką herbaty ani dobrym słowem, nic. Po prostu chcieli, żebyśmy gdzieś usunęli się, że nas nie ma w ogóle. Przecież można było powiedzieć tym ludziom, że jedzie, że przyjedzie transport z Byberii. Cóż ludzie, co czekali po pięć lat, to przecież by przyszli. To był maj. To były piękne noce, piękne dni. Nikogo nie było.

A teraz sprawa z tym kombatanctwem. Przecież nam się coś należy. Tu przecież nie chodzi o nas. Tu nie chodzi o nieszczęście pojedynczego człowieka. Bo tak: po pierwsze - całe rodziny straciły mężów. Dzieci nigdy nie widziały swoich ojców, później już. Dzieci tam nie miały zbudowanych organizmów. Dziecko, co miało dwa lata, dwa miesiące to przecież to dziecko dopiero powinno rosnać. I teraz są takie dzieci strasznie chore. Znam jedno, co ma tą rozsianą, tą twardą, ja nie wiem; to jest twardość rozsiana czy coś takiego. Ona mnie z tej gazety kiedyś ... gdzieś tam... to drukowali książkę. To córka tej kobiety z Lenc, o której ja tam wspominałam, to ona tu była, to ona o lasce chodzi. Ten mój siostrzeniec jest dzisiaj inwalidą i jest na rencie. On miał parę miesięcy, jak go zabrali. Tam nie było z czego bu-

wać organizmu w ogóle. I te dzieci wszystkie, to są nieszczęśliwe dzieci. Dzisiaj moja córka to jest kompletny zestaw chorób wszystkich. Ona już powinna być dawno na emeryturze. A ona ma jeszcze rok do tych pięćdziesięciu pięciu lat. Wyszła taka ustawa, która teraz mówi, że wszyscy, bez względu na wiek, którzy byli tam, to będą tymi kombatantami. I to daje to prawo do pięćdziesięciu pięciu lat kobietom przejścia na emeryturę. Przedtem to nie było żadnej łaski. Normalnie kobieta trzy lata temu przeszła na emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, jeżeli wyraziła takie życzenie. Dzisiaj, nie wiem, co się robi. Oni chcą urządzić Polskę w ten sposób, żeby wszyscy ludzie mieli obawę przed tym, co się stanie. Bo tylko oni potrafili rządzić. A wygląda, że ci ludzie, którzy teraz są, to oni nie dają rady. Proszę popatrzeć na tę komunikację, co się dzieje? Przecież to jest wyraźnie polityczna historia. Tu trzeba kogoś wziąć za gębę. Tak nie może być.

I ona /moja córka/ ciągle się dręczy: Boże kochany, jak te pięćdziesiąt pięć lat będzie, a mnie obejmie, to ja nie dożyję tego roku. Bo ona już teraz jest ledwie żywa.

Ci wszyscy ludzie starzy, którzy tam byli, to jest ta tragedia wielka. Tragedia masy tysięcy ludzi. Ci ludzie starzy zostali tam. Sama byłam na takim pogrzebie, takiego starego człowieka. Tam ludzie pozostawali. To była ogromna zbrodnia, którą Sowieci zrobili, zupełnie nie gorsza niż te nie-mieckie. Tylko oni mieli przestrzenie ogromne a Niemcy mieli obozy. Ale to jest ta sama straszna siła okropna, która teraz usiłuje znowu to wszystko zebrać do kupy, do siebie. Ludzie się boją. Ludzie się już boją. I tutaj właśnie trzeba, żeby to Archiwum Wschodnie i wszyscy ludzie, żeby ci jednak, co mają coś do powiedzenia, żeby przypilnowali, żeby te rzeczy były jednak załatwione w jakikolwiek sposób. Zeby ci ludzie się przestali, przynajmniej ci starzy się bać. Że to wszystko, no może się nie zmienić. Ale po prostu "gruba

"kreska" i my wszystkim dajmy błogosławieństwo za to wszystko, co było. Oni sobie... Ci wszyscy ludzie to są ludzie wypoczęci, ludzie, którzy swoim dzieciom mogli zapewnić wykształcenie, ludzie, którzy tą Polską nauczyli się rządzić źle, ale nauczyli się rządzić.

A co my mamy, którzy siedzieli w więzieniach? Co my mamy teraz? A gdy się mówi: weźcie sprawy w swoje ręce: jak wziąć, kto weźmie? Ten umęczony człowiek? Ci ludzie, którzy są dorośli teraz albo mają po pięćdziesiąt pięć lat i są wykończeni, tacy zupełnie. To ci mają wziąć w swoje ręce ?

Owszem, wszyscy biegną ci, którzy byli przed tym. Biegną, bo oni mają siłę. Oni zasiadają we wszystkich komitetach obecnych. Oni starają się być we wszystkich tych spółkach. I tutaj coś... to archiwum historyczne, to tutaj nie można myśleć tylko o historii. Ci ludzie jeszcze żyją. Ci ludzie powinni mieć jakiegokolwiek zabezpieczenie. Nie powinni mieć przynajmniej tego głodu i powinni mieć satysfakcję, że kogoś za to rozliczą. Że kogoś za to rozliczą.

Po powrocie, z początku to chodziłam i prosiłam o pracę. Nigdzie nie mogłam dostać. Po-tem mi powiedzieli, że tu... tu był taki ksiądz tu był taki ksiądz kanonik Abramowicz. On Caritas organizował. I ten ksiądz... i stąd tego, z tej Fary. To mówi: niech pani idzie tam, może pani tam coś dostanie do roboty. A ja zapomniałam, że ten ksiądz zna mojego ojca i mnie od takiego dzieciaka. Bo ja kiedyś śpiewałam w kinie przy jakimś takim święcie, przy jakimś postnym filmie takim, niemym. I w ogóle ja go znałam i on mnie znał od ~~du~~ dziecka. Poszłam tam.

Z początku to szyłam worki. No bo ja nic innego... tak mi ta zakonnica udzieliła, widocznie po wyglądzie. To szyłam te worki. Ale ja już miałam coś. Już mogłam szyć te worki. Potem, w jakiś czas to byłam sekretarką tego diecezjalnego Caritas. Ale co tam było? Tam było parę groszy.

Były te przydziały. Ja to wszystko oddawałam rodzinie, bo przecież

i tak siedzieliśmy czworo osób. Ja stąd nosiłam zupe. Z "Puru", tutaj koło kościoła św. Rocha, to nosiłam aż na Nowe Miasto, po dwa wiadra. Bo mi się zdawało, że ja nie będę taka głodna. A potem to ten ksiądz powiedział: będziesz miała gdzieś lepiej, to sobie przejdiesz.

I dostałam pracę w Zarządzie Lasów Państwowych. Tam znajomi mi się postarali o tę pracę. Z początku pisałam na maszynie, a wyszłam stamtąd, to byłam starszym instruktorem inwestycji, wydziału inwestycji leśnych. Moja robota to była zabezpieczanie pieniędzy na te wszystkie plany inwestycyjne, przerabianie tych planów jak one tam. Jak było potrzeba, rozliczanie się z tego wszystkiego. A potem je przypomniałam sobie, że ja cośkolwiek umiem. Ale jak wróciłam, to ja przecież nic nie umiałam, nic.

Byłam przerażona, byłam przerażona tymi... tą wodą, która cieknie tak. Po prostu tu pięć lat to była taka straszna granica. Ja nawet nie tęskniłam za mężem bardzo. Bo ja już zapomniałam, jak on wygląda. Ale toście powinni o tym pamiętać, że ludzie żyją jeszcze.

Ja tutaj jeszcze muszę pochwalić Kuronia. Muszę go pochwalić, bo to jest dobry człowiek mimo, że on jest komunista, Żyd, ja nie wiem, kto on tam jest. Ale jak ja te osiemdziesiąt lat skończyłam, to ja dostałam trochę wyższą emeryturę. A ponieważ te dziury w budżecie są, i tam gdzie budżetowcy są, to oni nie dostają tam od wieków ani wyrównania i nic. I ona pracuje za milion dwieście tysięcy, na samodzielnym stanowisku jest. A tam mają i po siedemset tysięcy. To ja miałam te siedemset tysięcy tej emerytury. Z tym po siedemdziesięciu pięciu latach, z tym dodatkiem. No, a teraz ja mam milion czterysta. To ja mogę im pomóc.

To było wtedy, jak Anders przeszedł do Iranu nie myśląc o tym, co robi tym wszystkim ludziom, którzy zostają. Już wtedy odebrali nam to... to nie było obywatelstwo" to było po prostu "grażdanie polscy" "Wolnyje Kazaki", jak oni mówili. I wszystkie przywileje. To znaczy,

że trzeba pracować, żeby dostać chleb. Przedtem i tak można było dostać chleb. No i wtedy nas wszystkich, żebyśmy też prosili o tójbywa telstwo polski w/?/. Siedział nasz ten przedstawiciel w więzieniu już. Londyński przedstawiciel. A myśmy wszyscy pałali chęcią ofiary za ojczyznę. Myśmy wszyscy chcieli iść do więzienia. Matka moja, taka staruszka. I takie staruszki też: wszyscy do więzienia. Poprawialiśmy te wojenne szkaplerze, te rosyjskie imiona u dzieci, rok urodzenia, skąd. Patrzyliśmy na to, bo nie było wiadomo, kiedy my ich znowu zobaczymy. Jak przychodził taki człowiek z tymi dokumentami, to myśleliśmy, że to już po nas.

Ale wytrwaliśmy. Po długich, ciężkich latach wróciliśmy do Ojczyzny. A tu nas przyjęto niezbyt radośnie, jak już o tym mówiłam. Myśmy tak się starali o powrót, a tu takie zimne, nieżyczliwe przyjęcie. Smutek był wielki.

Czas leczy rany. Długo to trwało. Jakoś się zaaklimatyzowaliśmy. Ale jakiś osad żalu pozostał. Ostatnie lata zmian przypomniały te przeszłe cierpienia. I znowu odżyły te straszne dni, o których najchętniej by człowiek zapomniał. Ale przecież to jest niemożliwe. Rachunku krzywd nic już nie wyrówna, bo to nie jest możliwe. Ale pamiętać trzeba, ku przestrodze.

Smutne są te nasze wspomnienia. Bo też i smutna ta nasza syberyjska przeszłość. Ale już przeszłość.

Notował: S. Sianko.